

Jan Marcinkiewicz

Relację nagrała i zredagowała: Janina Wołczuk

Temat: Ziemia Lidzka...

nagranie dokonane w maju 1991 r.

Jan Marcinkiewicz, ur. 20 grudnia 1925 roku w Ścierkowie pow. Lida województwo nowogródzkie. Urodził się w rodzinie rolnika. Było nas w domu 4 chłopców i 2 dziewczyny. Mieliśmy 20-hektarowe gospodarstwo, w tym część stanowiły błotniste łąki - nad Niemnem, część - pastwiska, a około 10 ha było ziemi ornej.

Ścierkowo to była duża wieś, przeszło 120 domów. Wieś leżała przy szosie Lida-Mołodeczno, do Lidy było 11 km. Początkowo nasz kościół parafialny był w Kirianowcach, a potem został wybudowany drewniany kościół w Berdówce. W Berdówce był państwowy majątek, tam była szkoła rolnicza - jedna z nielicznych na Kresach Wschodnich, na Nowogródczyźnie. Podobna była w Lubelskiem, w Janowie. W szkole uczyła się młodzież po podstawówce, na sadowników, hodowców bydła, ogrodników. Przez trzy lata uczono bezpłatnie, w pozostałych przypadkach rodzice musieli płacić. Tam był pałac, była stadnina państwowa. Młodzież mieszkała przy szkole.

W Ścierkowie mieszkała ludność katolicka, nie było ani jednego prawosławnego. Niedaleko, o 3 km, była wioska Chorażowce, Wołkowce, to tam prawie wszyscy byli prawosławni, tylko paru było katolików. Nazwiska ludzie w tych wsiach mieli bardzo polskie, np. tam mieszkali Czajkowsy - prawosławni. Tam mieszkał Prokop - to była rodzina bardzo muzykalna. Prokopowie grali na uroczystościach, które organizowała gmina z okazji świąt państwowych, np. na 11 listopada. Grali bardzo pięknie. Oni obsługiwali prawie cały powiat lidzki - wesela, zabawy.

Między naszą wsią a tymi wsiami prawosławnymi nie było niesnasek - młodzież chodziła do siebie nawzajem na zabawy, bójek nie było. Świąta prawosławne były o 2 tygodnie później niż nasze, oni więc przychodzili na nasze zabawy w czasie świąt katolickich, ale nie tańczyli, bo u nich był jeszcze post. Żyliśmy zgodnie. Bardzo dużo prawosławnych było w AK-owcach. Prawosławni mieli swoje cerkiew w Żyźmie. To była bardzo duża wieś, przeważnie prawosławna, tam było paru katolików. Żyźma była takim punktem centralnym dla prawosławnych z tych już wymienionych wsi i z innych: Wołkowce, Kornilki, Anaćki, Piotry /Piotrowce/, Filonowce - tam w kierunku Niemna w niektórych wsiach przeważali prawosławni. Ale to była taka mieszanina. W niektórych rodzinach byli i prawosławni i katolicy. Tak było i w naszej wiosce, na przykład matka Zubrzyckiego pochodziła z Chorażowców z rodziny prawosławnej. U nas było dużo małżeństw mieszanych i nikt na nich krzywo nie patrzył, przynajmniej w naszych stronach. To

Jan Marcinkiewicz c.d.

Żyżma była taka bardziej agresywna, tam były takie zgrane chłopcy, takie Rusy. Niektórzy katolicy uważali, że jak prawosławny - to Białorusin, ale ja nie potrafię określić narodowości u nas. Przecież niektórych ludzi z Żyżmy - prawosławnych - spotykałem już teraz w Polsce /koło Wrocławia w Popielowie mieszka m.in. Szarycz/ i wszyscy oni uważają się za Polaków. Niektórzy z nich byli w Armii Andersa - przeszli cały szlak z tą armią.

O związkach z komunistami, o wpływach z Rosji przed wojną u nas gadali. Pamiętam takie zdarzenie: tuż przed wojną w 1937 czy 1938 roku /byłem wtedy chłopakiem/ we wsi Białuńdzie taki jeden Bohdziewicz zorganizował grupkę może 10-osobową 17-letnich czy 18-letnich chłopców i na 1 Maja przemaszerowali z jednego końca wsi na drugi. Mieli karabin z obciętą lufą, zawiesili na nim czerwoną płachtę i kiedy doszli do końca wsi, to z tego karabinu wystrzelili. Widziałem na własne oczy jak polska policja zabierała tych chłopców. Chłopcy ci wkrótce wrócili z Lidy do domu. Tylko Bohdziewicza zatrzymali. Bohdziewicz był zwyczajnym mieszkańcem tej wsi, miał gospodarkę i dodatkowo jeszcze grywał na zabawach, bo to też była muzykalna rodzina. Bohdziewicz wrócił, jak na nasze tereny wkroczyli Rosjanie we wrześniu 1939 roku. Nie wiem, gdzie i jak on siedział. Opowiadano potem, że Bohdziewicz domagał się od przewodniczącego sielsowietu nagrody za swoją działalność przed wojną. A Rosjanie nie chcieli go wynagradzać, bo może mieli dość takich zasłużonych. Wtedy Bohdziewicz podobno złapał tego przewodniczącego na powrót i powiedział, że utopi go, jeżeli nie dostanie krowy. Bohdziewicz był zdrowym chłopem, spuścił tego Załużyna do studni i ten musiał przysięgać, że da mu krowę. Załużyn był prawosławny, pochodził z kórejś okolicznej wsi - Lewaszy czy Miłasz /spod Lidy/, to był przed wojną zapewne biedak. Bo w tych wsiach - prawosławnych - zajmowali się wyrobem terpentyny, zbierali grzyby i t.p. A w Białuńdziach mieszkali katolicy.

Kiedy we wrześniu 1939 roku Rosjanie wkraczali na nasze ziemie, to polskie wojsko się cofało. Żołnierze chodzili nieraz bez planu po szosach: kto był miejscowy, to szedł do domu. Wychodziliśmy oglądać wojsko polskie. A w Berdówce zatrzymali się żołnierze z KOPu. W Berdówce w majątku i przy stadninie mieli posady przeważnie byli legionieści. Były tam pobudowane dla nich domki - drewniane, ale ładne. Było całe osiedle takich domków, bo stadnina w Berdówce była potężna, było może ze 100 ogierów. KOPiści mieli zamiar w Berdówce wydać Rosjanom bitwę i albo polec albo potem poddać się do niewoli. Ale ludzie w Berdówce zaczęli ich przekonywać, że to nie ma sensu, że narażą kobiety i dzieci, że szkoda majątku, bo Rosjanie

Jan Marcinkiewicz c.d.

mogą wszystko spalić; a z drugiej strony byli już Niemcy - walka nie miała już sensu. KOPiści zdecydowali się poddać. KOPistów było chyba koło setki, a może i więcej. Mieli wystawione warty. Kiedy zbliżył się rosyjski czołg i zobaczył, że tu jest wojsko polskie - zaraz zawrócił - i chodu. Potem rzucili na Berdówkę taką ilość czołgów, jakby tam była niewiadomo jaka armia. KOPiści wywiesili białą flagę, ale to majątkowi niewiele pomogło. Za wojskiem rosyjskim szło chłopstwo, prawdopodobnie z Żyzmy i z innych wsi. Bractwo to ubrało się w najgorsze łachy, jakie były: podwiązali się powrozami, na nogach jakieś łapcie - nigdy przed wojną nie widzieliśmy takich biednych ludzi i nie wiedzieliśmy, że tacy są. Wojsko rozbroiło KOPistów, zabrało im pasy, ustawiło w szereg. A jakiś "litościwy" dowódca rosyjski kazał temu chłopstwu wziąć broń i "pohulać" z tymi panami. Bractwo chwyciło tę broń, ale hulac nie było z kim, bo Berdówka nie miała panów. Były tam przepiękne krowy, konie - wszystko było pokazowe, bo to była szkoła rolnicza. Chłopi z tą bronią rzucili się grabić dobytek i rzucać się do siebie nawzajem, bo nie mogli się pogodzić - bo jedna krowa miała piękniejsze rogi od innej... I z tą bronią jeden do drugiego. A dowódca patrzył ze zdumieniem, bo oczekiwał, że oni rzucają się panów mordować - a tam byli tylko nauczyciele i masztalerze ze stadniny. Dowódca kazał oddać broń, bo chłopci mordowaliby się między sobą. Wdarli się do mieszkań nauczycieli, zaczęli szabrować pościel, meble.

W Berdówce mieszkali nauczyciele też z okolicznych szkół, nauczycielki niektóre były z Kieleckiego, z Krakowa. Przyjechały na kresy z mężami, którzy mieli w majątku posady. W Ścierkowie na dwa lata przed wojną została wybudowana nowa szkoła im. Piłsudskiego. Zdażyłem się w niej pouczyć jeszcze dwa lata. O tych wydarzeniach w Berdówce opowiadała właśnie jedna z nauczycielek, która jeszcze potem uczyła w Ścierkowie - pani Kletkowska. Ona sama uciekła wtedy z Berdówki w samej tylko sukience. Uczniowie - chłopcy uciekli ze szkoły, a nauczyciele bali się, że to zachłanne chłopstwo zamorduje ich. Rabowali wszystko z szaf, pościel - za tym tłumem pieszym już niektórzy przyjechali z furami. I kogo było rabować - nauczycieli!? A Rosjanie pozwolili im na to. Rozszabrowali tą Berdówkę - czego nie wzięli, to połamali, poniszczyli.

A KOPistów ustawili w szeregu i pędzili. Miałem pecha to widzieć. W Kosowszczyźnie Żyd kupił jabłka i potrzebował przewieźć

Jan Marcinkiewicz c.d.

je do Lidy. Ojciec mój nie chciał jechać, bo tu już wszędzie byli Rosjanie, a ja się zgodziłem - Żyd dobrze płacił, a przewieźć to nic trudnego. Jadę więc z tymi skrzyniami pełnymi jabłek, a tu pędzą tych KOPistów, popędzają. Zawiozłem skrzynie do Lidy, zrzuciłem, wracam z powrotem. A przy rogatkach w Lidzie, jak się wyjeżdżał do nas, był las. Las ten nie był wycinany, był jako park. Koło wsi Ogrodniki, za Niecieczą, patrzę: leżą w rowie zabici dwaj oficerowie - kapitan i major. Tych zabitych widziałem jeszcze w drodze do Lidy. Wracam pod wieczór, dojeżdżam do tego miejsca, patrzę, a tu biegnie jakaś kobieta do mnie. Prosi, żebym się zatrzymał i podwiózł jej brata /kobieta była w średnim wieku/. Nie zorientowałem się, o co chodzi. Pytam, gdzie jest jej brat, niech siada. A ona na to, że trzeba podjechać. Kobieta miała całe nogi pokrwawione. Pomyślałem, że może po rżysku podrapała sobie nogi. Nawróciłem konia, a ona mówi, że brat nie może sięść, żebym podjechał pod chałupę. Podjechałem do chałupy, a ona odrzuca kartoflisko - a pod kartofliskiem leży zabity kapral. Ja w strach! Miałem wtedy 14 lat. Tu zabity żołnierz, okrwawiony! I trzeba było go wieźć gdzieś pod Iwje, na Juraciszki. W nocy, z nieboszczykiem! A ta kobieta lamentowała. Opowiadała, że oficerowie szli z tyłu, nic nie robili. Kobieta szła za nimi, miała nadzieję, że może jej brata puszcza, prosiła tego ruskiego. Ale w pewnym momencie ten ruski z tyłu wyjął pistolet i strzelił w tył głowy tym polskim oficerom. Wtedy ten kapral powiedział, że chyba ich wszystkich wystrzelają. Ruski może nawet i nie rozumiał, co ten kapral powiedział po polsku. Ale pojął może, że to się kapralowi nie podoba - wziął więc i palnął tego kaprała. Widział przecież te dwie belki i musiał rozumieć, że to niewysoka ranga... I ta siostra, jak wynikało z jej opowiadania, ciągnęła tego zabitego brata około 300 metrów - zaciągnęła pod płót i przykryła kartofliskiem. A ja nie powiozłem wtedy tego zabitego. Wróciłem do domu i opowiadam o tym ojcu. A tu już u nas Rosjanie rozciągnęli płótno, już pokazują jakiś film o przodownikach, stachanowcach, którzy pracują w kołchozie, jedzą arbuzy...

Przed wojną była w Ścierkowie duża szkoła im. Piłsudskiego. Uczyło w niej przed wojną małżeństwo nauczycielskie - Sawiccy. On był chyba zawodowym oficerem - podporucznikiem. Pochodził z Białej Podlaskiej /z jakiejś wioski/, a ona uczyła początkowo gdzieś na Litwie; opowiadała swoje przejścia z tej wioski, bo tam część dzieci uczyła się po polsku, a część po litewsku. Tam poznała swojego przyszłego męża - na manewrach. On zrobił jakieś kursy nauczycielskie i uczył u nas w szkole. Ale każde lato musiał stawiać się do swojej macierzystej jednostki.

Jan Marcinkiewicz c.d.

Kiedy przyszli Rosjanie, to ja akurat poszedłem do VI klasy. Początkowo w szkole wszystko było po staremu, tylko ksiądz już nie przyjeżdżał do szkoły. Potem wszyscy nauczyciele musieli się przekwalifikować, musieli z nami rozmawiać albo po białorusku, albo po rusku. Myśmy też mieli nakaz, żeby mówić tylko po białorusku. Przed wojną w szkole mówiliśmy na lekcjach tylko po polsku, a na przerwach - taką mieszaniną, nauczyciele zwracali nam uwagę na to, jak mówimy. A teraz myśmy się z nich śmieli, bo nauczyciele mówili bardzo słabo.

Chyba tylko w Lidzie była jedna szkoła z językiem polskim, ale nie mogliśmy przecież chodzić 10 km do Lidy. Szybko opanowaliśmy tę cyrylicę. Była taka czytanka po białorusku "Czyrwonija zoraczki" - czytałem ją chyba przez dwa lata. Podręczników innych brakowało, dopiero chyba na drugi rok ściągnęli coś z literatury - Puszkina, Turgieniewa - coś z klasyków. A te "czyrwonija zoraczki" to było coś jak elementarz dla małych dzieci. A tak to była gazeta. Wyfawawo nam się przedtem, że znamy białoruski, ale z czytaniem gazet były problemy, bo to całkiem inny język. Ale jak niektórzy nauczyciele mówili po rusku czy białorusku, to myśmy się za brzuchy łapali ze śmiechu. Jeszcze ten nauczyciel z Białej Podlaski kiedyś się uczył w szkole carskiej, więc pamiętał trochę. Ale z Krakowa czy z Kielc? A naszych miejscowych nauczycieli u nas przed wojną nie było, byli nauczyciele z centralnej Polski. Może taka była polityka.

Przecież i w czasie wojny do nas na Nowogródzczyznę był skierowany UBK z Warszawy. Słyszałem o tym, kiedy przyjeżdżałem na urlop do domu z AK od Ragnera. Kiedy bywały posiedzenia sztabowców, to pytano, dlaczego skierowano do nas wojsko spod Kielc czy Warszawy - czy tam Niemców nie było? Odpowiadano, że to rząd w Londynie tak zdecydował, żeby na kresach nie poróżnili się kresowiaci pomiędzy sobą /Litwa sobie, Białoruś sobie.../ Do UBK nabierali młodzież mieszącą z różnych miejscowości. Między innymi przywędrował do nas Ponury. UBK doszli od Grodna aż do Mołodeczna, potem chyba pod Wilno...

Nauczyciele przedwojenni byli w Ścierkowie dopóki nie przyszli Niemcy. Sawicki był porządnym człowiekiem, żył w zgodzie z ludźmi, ale przy ruskich zdarzało się, że jakiś niezadowolony pijany chłop potrafił mu powiedzieć: "Gdzie jest twój mundur?" Sam słyszałem takie odzywki. Nieporozumienia zdarzały się na tym tle, że chłopci chcieli czasem pomieszczenia szkolne wykorzystać na zabawę, a on bronił szkoły, bo po pijanemu mogli w szkole narobić szkody. A on mundur zawsze miał. Brał udział w kampanii wrześniowej, trafił do Niemców, ale udało mu się od Niemców wrócić do domu. Opowiadał nam o tym.

Jan Marcinkiewicz c.d.

Już w latach 1939-41 zaczęło się zmieniać życie na wsi. Już w roku 1940 aktywniej zaczął działać przewodniczący sielsowietu Załuga - zaczęto interesować się kułakami. Do mojego ojca kilkakrotnie przyjeżdżali z NKWD z Lidy - dlatego tak marudnie oddaje kontyngent. Najbardziej niehumanitarne było to, że jak człowiek się wywiązał w terminie z pierwszej raty, to już drugą dawali podwójną. A Żyźma już w 1940 roku organizowała kołchóz. A ludziom dawali duże szarwarki. A u nas tak się niekorzystnie złożyło, że połowa gospodarki była matki /bo jej rodzeństwo wyjechało do Stanów Zjednoczonych i zostawiło jej całą ziemię/ a druga część ziemi była ze strony ojca. W 1937 roku przeprowadzono u nas komasację i tak się złożyło, że na całą wioskę moi rodzice mieli najwięcej ziemi. Wyglądało to niekorzystnie, ale nie byliśmy bogaczami, bo w domu było sześćcioro dzieci. Ojciec pracował sam, bo najstarszego brata Rosjanie zabrali w 1940 roku do wojska - brat Władysław był z 1921 roku, dostał wezwanie do wojska i służył koło Białegostoku. On został normalnie powołany do wojska. Wtedy ze Ścierkowa poszedł do wojska też Pielewicz, Michałowicz - ogólnie 4 czy 5 chłopców ze Ścierkowa. Brali wszystkich z danego rocznika. Rosjanie nie brali tylko tych, którzy siedzieli przedtem w więzieniu, tzn. byli karani. Ale u nas nikt tam w więzieniu nie siedział.

Zabrali tych chłopców i zawieźli do Jałówki k/Białegostoku. W 1941 roku wybuchła wojna z Niemcami. Nasi chłopcy szli do domu. Doszli do samej Lidy i byli ciekawi, jak wygląda Lida po bombardowaniu. Koło zamku Giedymina zatrzymali ich Niemcy. Chłopcy byli w mundurach rosyjskich i nic nie pomogło tłumaczenie, że są Polakami. Kobiety dowiedziały się, że w zamku siedzą nasi chłopcy, zaraz tam poleciały, poniosły jeść naszym, a Niemcom - kury, jajka; tłumacza, że to nie Rosjanie, tylko nasi. Niemcy zaczęli spisywać tych zatrzymanych według narodowości. Chodziły pogłoski, że Polaków będą puszczać do domu. Siostra nasza nosiła jedzenie bratu, bo tam był głód straszny. Aż kiedyś poszła i dowiedziała się, że Polaków gdzieś wywieźli. Siostra wtedy ze strasznym płaczem do Niemca, że brata jej nie wypuścili. Niemiec za łapówkę /żywnościową/ pozwolił jej wejść i poszukać brata. Ale go nigdzie nie było. Na drugi dzień Niemcy wypuścili wszystkich tutejszych, którzy się podali za Białorusinów, a zatrzymali Ruskich i Ukraińców /i inne narodowości sowieckie/. Brata zawieźli do lagrów - do Grajewa. Z tych chłopców ze Ścierkowa - Polaków - tylko mój brat przeżył, a pozostali zmarli z głodu, bo tam był straszny głód. Brat mój przedtem robił na kuchni, był dobrze odżywiony i przetrwał. Był u Niemców aż do końca wojny. Po wojnie nie wracał już na Kresy. Ożenił się, mieszkał w Warszawie,

Jan Marcinkiewicz c.d.

teraz mieszka w Gorzowie. Najstarsza z rodzeństwa jest nasza siostra - z 1912 roku. Reszta rodzeństwa jest młodsza, dwóch braci już umarło - najmłodszy i średni.

Już w latach 1939-1941 przyjeżdżali do Ścierkowa agitatorzy, którzy przekonywali do kołchozu. Przyjeżdżał z komitetu partyjnego agitator po linii kołchozowej. Przekonywał, że dużo pola się marnuje na oddzielne drogi - z każdego pola, na miedze. Wskazywał na majatek, obiecywał, że to wszystko będzie kołchozowe, że państwo da maszyny i najniższe podatki zanim się kołchoz nie zorganizuje. Ale chłopcy byli niechętni. To była presja w formie podatków - jak się gospodarz wywiązał w jednym roku, to na przyszły podwajano mu podatki, a w kolejnym roku znów zwiększano. Ale w tym pierwszym okresie w Ścierkowie nie zdążyli zrobić kołchozu. Kołchoz był w Żyźmie i w Wołkowcach, tam byli prawosławni, Białorusini i ich traktowali chyba bardziej jako swoich, którzy powinni byli dawać przykład opornym Polakom.

W 1940 roku wywieźli legionistów z Berdówki. To była bardzo mroźna zima, wtedy sady powymarzały.

Wybory deputatów to była sama komedia. Ludzie mieli wybrać kogoś "charoszewo", a po białorusku to znaczyło "ładny". Więc czasami na zebraniu wysuwano na środek kogoś pokracznego, na śmiech, że to właśnie jest "charoszy". No i jego wybierano. Ludzie musieli iść głosować, ale nikt nie wiedział, o co chodzi i za co głosuje.

Ludzie byli bardziej zadowoleni, że przychodzą Niemcy w 1941 roku. W Berdówce część pracowników, którzy uniknęli wywózki, to nawet bramę powitalną dla Niemców zrobili. Ale Niemcy od samego początku pytali o Żyźnę. Po wkroczeniu do Żyźmy Niemcy zabrali mężczyzn /20 albo 40/ i rozstrzelali na łące za wioską. Nikt nie wiedział, za co. Niektórzy opowiadali, że kiedyś gdzieś w okolicy Żyźmy spadł niemiecki samolot i ludzie wydali lotnika Rosjanom. Opowiadano różne bajki, ale chyba nie za kołchoz, ani za to, że tam byli Białorusini, bo do Białorusinów Niemcy mieli zaufanie lepsze niż do Polaków. Białorusinów Niemcy brali do policji, do wojska - do specjalnych oddziałów. Wioski Żyźmy nie palili, tylko mężczyzn rozstrzelali. W Chorążowcach i Wołkowcach też był kołchoz, ale tam nic nie zrobili. Był zagrożony tylko sekretarz sielsowietu - Szymon Prokop. Zbierano po wsiach podpisy, że on nic złego ludziom nie robił, że tylko zajmował się papierkową robotą. I nic mu Niemcy nie zrobili. Potem ten Prokop po ponownym przyjeździe Rosjan znów stał się władzą, ale potem zginął - niewiadomo, czy w wypadku samochodowym, czy go ktoś specjalnie przejechał - chyba w 1945 roku.

Organizacja, AK u nas na większą skalę, prawie jawnie zaczęła

Jan Marcinkiewicz c.d.

się jesienią 1943 roku. To był sierpień- wrzesień - bo było drugie koszenie, kiedy pojawił się zwiad. To były oddziały chyba Krysiaka. Niedaleko od nas był przejazd kolejowy Lida-Mołodeczno, ominąć go nie ma jak. Na przejeździe stały posterunki niemieckie. Niemcy mieli takie posterunki co 5-6 km, z bunkrami, umocnieniami. Okolice ludność pod przymusem chodziła robić wykopy, z drewnianych belek schrony, obciągać drutami. Niemcy tam potem zakładali miny. Myśmy tam znali wszystko, AKowcy zatem mieli dobry wywiad. Wtedy na nasze tereny ściągnęło może około 2000 AKowców, od Krysiaka. Jechali z bronia, furmankami, szli pieszo. Często czerwoni partyzanci zrywali tory; Niemcy chronili przejazdu, coraz oświetlali teren rakietami. Kiedy później byłem w oddziale, to chłopcy opowiadali o tej akcji: wysłano AKowców, którzy biegle mówili po niemiecku. Oni powiedzieli, że przez przejazd będzie przejeżdżało polskie wojsko, żeby Niemcy nie robili im przeszkód, że trzeba się dogadać.

#### taśma II

Wartownicy zatelefonowali do Lidy, po pomoc. To było nocą. Niemcy z Lidy zakładowali się na samochody, wozy pancerne - i do tej Kosowszczyzny, zrobili zasadzkę na tej szosie, do której przylega nasza wioska i przy której leży Kosowszczyzna. Ale AKowców szła masa, na "Hura". Niemców prawdopodobnie dużo wtedy zginęło, AKowców było paru rannych, ale tu koło Ścierkowa zabitych nie było. Może zresztą i byli, ale wojsko zabrało ich ze sobą.

To było jesienią, a ja trafiłem do AK już po Nowym Roku, bodajże w lutym 1944 roku. Byłem z matką w Lidzie na targu. Przyjeżdżam pod wieczór do domu, a tu siostra z płaczem mówi: "Zbieraj się, mobilizacja." A AKowcy przyszli do sołtysa i powiedzieli, że potrzebują 30-35 chłopców, pluton ze wsi. Wieś ogromna, chłopców było sporo. Brali początkowo z tych rodzin, gdzie było dwóch chłopców. Ale tak nabrali może z 10. Wtedy sołtys nie chciał decydować, kogo mobilizować, żeby matki nie miały potem pretensji, że jej syna posłał do wojska. Spisał więc wszystkich, niech wojsko samo wybiera. Zbrali nas jak baranów, wszystkich, chyba ze 40 chłopców, kawalerów - żonatych nie brali. Między innymi i ja trafiłem. Poszedł wtedy Anacki Henryk, Bohdziewicz Stefan, Cieszko Henryk, Kutasz Bolesław; Pobór przeprowadzał pluton od Ragnera, przyprowadził nas do Fiłonowców, bo tam był cały ich sztab. Czy można było odmówić wstąpienia do wojska? Czy ja wiem? Na czele tego plutonu był kapral "Rysiek" - to był chłopak z jakiegoś majątku spod Baranowicz. Powiedział nam, że na miejscu w Fiłonowcach będzie komendant i on zdecyduje, kogo zwolnić, bo wszystkie matki miały jakieś przyczyny, żeby zwolnić ich synów: a to on gospodarz, a to matka chora.

Jan Marcinkiewicz c.d.

Przyprowadzili nas rano do tej wioski w pobliżu Niemna, do Filonowców, komendantem był Pazurkiewicz /pseudonim/ - Pazurkiewicz a potem powiesili w Lidzie Rosjanie. Wtedy on akurat wyjechał gdzieś do innej placówki - i my cały tydzień byliśmy bez komendanta. Przeszliśmy jakąś komisję lekarską, sprawdzano ręce, palce, oczy, pytano, co dolega. Jednego odprawili - Alberta Zubrzyckiego, bo nie słyszał na jedno ucho. Było paru chłopaczków, których żołtys nie zgłosił, ale oni sami się zgłosili. Może i mieli swoje lata, ale byli jacyś mali, to tych 3 czy czterech lekarz odprawił. Ja powiedziałem, że jestem najstarszy w domu, a matka jest wdową - kto będzie matkę utrzymywał. Lekarz powiedział, żebym z tą sprawą zgłosił się do komendanta. A kolega, Bolesław Kutasz, powiedział, że mam szwagra, to gospodarzkę obrobi. Ci kaprale pytali, ile kto ma hektarów - bo to przeważnie byli chłopcy wiejscy, trochę było z Lidy. To niektórzy mówili, że mają po 5 hektarów, a na to odpowiadali, że taką gospodarzkę obrobia i bez nich. A jak ja powiedziałem, że mam około 20 hektarów, to na to mi: "A kto będzie twojej ziemi bronić?"

Zaraz po tygodniu była przysięga, przedtem była musztra. Byliśmy w swoich ubraniach, jak ktoś miał mundur z 1939 roku po starszym bracie czy ojcu, to to wyciągnął i założył. Niektórzy, przeważnie ci starsi stażem Akowcy, mieli już mundury - polówki uszyte u krawców. Ale przeważnie spodnie były niemieckie, buty niemieckie, coś tam przesyte z płaszczy. Niektórzy byli w płaszczech, a my ze wsi - byliśmy po cywilnemu. Stacjonowaliśmy we wsi, po domach, drużynami. Jak się nasze matki dowiedziały! Skąd one wywiad taki miały! Chyba ani Niemcy ani Rosjanie nie mieli takiego wywiadu. Prawie wszystkie matki po tygodniu przyjechały - do komendanta, z płaczem, że każdy w domu potrzebny. Moja matka pojechała nawet do Lidy do urzędu. Naiwna była i mówiła wprost, że mnie zabrali biali /bo u nas tak potocznie nazywali: rądziecką partyzantkę - czerwonymi, a polską - białymi/. Na szczęście trafiła na sekretarki Polki, bo w urzędach u Niemców pracowały Polki. I one wydały zaświadczenie, że matka jest wdową, że ja jestem najstarszy na gospodarstwie, że ten drugi jest mały. Matka była naiwna, bo gdyby trafiła na volksdeutscha, to jeszcze mogłyby być represje. Pazurkiewicz powiedział, że nie może sam decydować, że trzeba czekać na starszego. Matka czekała tam dwa dni. Ale nic to nie dała.

W następną niedzielę znów poprzyjeżdżały kobiety. Ale mojej matki wtedy na szczęście nie było. Bo wtedy Rosjanie pościągali swoje siły - chyba z całej Puszczy Nalibockiej, żeby wyprzeć polską partyzantkę. Wywiad nasz dał o tym znać. Tam były takie nadniemeńskie błota, a te wioseczki stały jak na

Jan Marcinkiewicz c.d.

nadniemeńskie błota, a te wioseczki stały jak na wyspach na piaszczystych polach. My nie mieliśmy jeszcze broni, byliśmy nie ostrzelani, a tu na noc nie każe się rozbierać, bo Rosjanie pościgali zewsząd, zarekwirowali w wioskach nad Niemnem łódki i szykują się do przeprawy. Bo wtedy, kiedy AKowcy ścięli się z Niemcami, to też wyparli na lewy brzeg Niema czerwonych z tych wiosek z naszego brzegu. W nocy więc nie rozbieraliśmy się, spaliliśmy w butach. Nad ranem - alarm, na nogi. A tam jedna droga między podmokłymi łąkami prowadziła na Lidę, tam był cmentarz. Warta stała na cmentarzu i na skrzyżowaniu. Czerwony zwiad podszedł pod cmentarz. Wartownik po zapytaniu o hasło - pociągnął z rkmu. Został na śniegu kożuszek, mapnik i ślady krwi. Ale żywcem nikogo nie wzięto. Już zaczynał się świt, wszyscy byli postawieni na nogi. Akurat moja kolej na wartę, na koniec wioski. Było nas w tej wiosce może ze 120 chłopców, z tego jeden pluton poszedł na rozpoznanie, a jeden - to całkiem nowi, niedawno zmobilizowani. Stoję więc na warcie i tak w odległości kilkudziesięciu metrów widzę: ciągnie taka błotnista łąka, tam kolonia i krzaki i zza krzaków wychodzi dwóch i jedzie furmanka - sanie. Młody byłem, widziałem dobrze: na saniach w płaszczu jeden leży z karabinem, a drugi pieszo idzie. No to ja powiadomiłem o tym... a ci idą normalnie do samej wioski. Nasi podpuścili ich gdzieś na 60 metrów i nagle ktoś z naszych wystrzelił. Wtedy oni rzucili tego konia i biegiem do krzaków. Zaczęła się strzelanina. Zapaliła się stodoła sołtysa. Niedaleko w Szejbakach było niemieckie lotnisko. Niemiecki samolot obleciał okolicę - i cicho. Gdzieś bezładna strzelanina. My nie możemy opuścić tej wioski, bo nas jest za mało, a Rosjan - według wywiadu - były może tysiące. Uradzili, żeby nas młodych wycofać w tym kierunku, gdzie poszedł nasz zwiad. A tam zarosła, trochę lasku. Wyprawdzili nas aż do takiej małej wioseczki Bylińskich, przeszliśmy przez most przez Niemen. A tam już za nami strzelanina, palą się budynki, rkmy, granaty wybuchają. Nas przerzucili aż do Niecieczy pod Bielica, potem na Cacki, Leśniki, Tobożę. A tu już dali naszym znać i ze wszystkich stron AKowcy ciągnęli na Fiłonowce. A kiedy przechodziliśmy przez most, to Niemcy stali na posterunkach, ale nas nie ruszali, nawet mówili: "Gut, polnische Partisanen". My też nie mieliśmy rozporządzenia ich ruszać.

Potem w Niecieczy bał dowódca - major, było podziękowanie dla żołnierzy, że dzielnie się bronili, że Rosjan było dużo, ale jednak ich odparto. Wtedy pod tymi Fiłonowcami zginęło chyba z 10 naszych. Nasi porąbali wtedy Rosjanom łódzie i kiedy ci chcieli już się wycofać, to to się nie udało. Wtedy właśnie zginął ten kapral, co

Jan Marcinkiewicz c.d.

nas mobilizował - "Rysiek"; podobno jakiś ruski Żyd pociągnął po nim z rkmu.

Jeden z chłopców ze Ścierkowa, którzy poszli do Ragnera, zginął w Olchowce, aż za Niemnem. Tam potem Rosjanie opuścili szereg wiosek, nawet ludność cywilna uciekła. I kiedy nasi szli tyraliera na taką pustą wioskę, wtedy ktoś ze strychu rębnał. Wtedy zginął Bogiń Zygmunt ze Ścierkowa. Zwiad wtedy został przepuszczony, nic nie wyszperał, a we wsi była zasadzka. Wtedy było kilku naszych rannych, a tego ze Ścierkowa zabili.

Potem już chciano zgody z Rosjanami, ale oni byli nieubłagani. Polaków po prostu rozstrzeliwali. Niektórych zupełnie bez żadnej winy, za to tylko, że byli Polakami. Pamiętam, jeszcze nie byłem wtedy w AK, sam wozikiem kiedyś czerwonych w stronę Jurewicz. Z Rosjanami był wtedy jeden Polak, nawet nie umiał po rosyjsku, taki Stasiak z Lubelskiego. On prawdopodobnie uciekł do nich od Niemców<sup>W</sup>, przyjęli go, ale potem po tym Staśku ślad zaginął. Bo z Jurewicz był też u ruskich Żuk; to ten Żuk uciekł potem od Rosjan. Gdyby nie uciekł, to by go zamordowali - za to tylko, że był Polakiem. A Żuk trafił do czerwonych dlatego, że jego rodzinę wystrzelali Niemcy, a on się jakoś uratował i uciekł - Rosjanie jakoś prędkiej się zorganizowali niż AK, bo do czerwonych uciekali jeńcy rosyjscy. Ale potem ten Stanisław Żuk był u Ragnera. Nie wiem, czy wrócił z Syberii, bo go Rosjanie wywieźli - słuch po nim zaginął; wszystkich pozostałych AKowców, którzy nie zgłosili się po wkroczeniu ponownym Rosjan do wojenkomatu, wyłapało NKWD co do jednego: Cieszek Henryk, Bolesław Kutasz, Stefan Bohdziewicz, ja - wszystkich nas, nie w jeden dzień, ale wyłapali. W Ścierkowie była placówka AK, wszyscy byli zaangażowani, pełnili wartę, był komendant, a młodzi chłopcy byli w oddziale. Potem wystarczyło, że NKWD wzięło pierwszego lepszego chłopca i już go oskarżano o działanie przeciwko czerwonym. Musieliby osądzić masowo wszystkich mężczyzn z całej wsi. Brali więc tych, kto miał jakąś funkcję. Chodziły obławy na tych, kto wrócił z lasu i się ukrywał.

strona B

Kiedy mnie aresztowali w 1946 roku, to już było po wojnie i nawet wszystkim dezertantom była <sup>a</sup>amnestia. Nie mieli prawa mnie brać. A mnie wzięli dlatego, że w Berdówce obrabowano sklep - czy to byli AKowcy, czy to jakaś banda, to wszystko zwalano na AKowców. U nas nie było cicho, jeszcze działali AKowcy. A to, że ja chodziłem do szkoły, to dla Rosjan nie było ważne, uważali, że się człowiek zamaskował.

Kiedy była operacja "Ostra Brama", to byliśmy pod Wilnem. Po-

Jan Marcinkiewicz c.d.

tem, kiedy Rosjanie nas okrażyli, to wszyscy miejscowi zwiiali - przecież myśmy znali tam wszystkie ścieżki. Ale <sup>u</sup> Rosjan nie było potem wyboru - albo armia Berlinga, albo Sybir. A część ludzi, przede wszystkim z Polski centralnej, zostali. To ich później wywieźli do Kaługi. Między innymi wywieźli i mojego brata stryjecznego z Treściakowców.

Ja wróciłem do domu. Karabinu Rosjanom nie oddałem. Tych karabinów było potem więcej, bo front się przesuwał. Wszystko było pochowane, pozakopywane. Potem poszły oblawy - dzień w dzień, noc w noc. Bo na wezwania do wajska nikt dobrowolnie się nie zgłaszał. Łapanych Rosjanie ~~...~~ prowadzili do Lidy i tam dawali na sito NKWD: gdzie był przy Niemcach, czy pracował, badano sąsiadów. Podejrzanych - na Syrokomlę, pozostałych - do koszar. Widząc taką sytuację zrozumiałem, że nie wywinę się od wojska. AKowcy z Trokiel mieli od księdza pieczętkę, zrobili metrykę chrztu - rocznik 1928 /a ja byłem 1925/. Z tą metryką zgłosiłem się do szkoły pedagogicznej. Rosjanie potrzebowali nauczycieli, zorganizowali więc tę szkołę. Zdałem egzamin, od razu na 2 kurs /szkoła była 3-letnia/. Dawali kartki na chleb i do stołówki, ale to było niewystarczająco. Chodziłem do domu po żywność.

Dyrektorem szkoły był jakiś były dowódca ruskich partyzantów, ale to był fajny człowiek. Uczniowie zamiejscowi - Rosjanie mieszkali przy szkole, ale tam wszystko było zawieszane. Ja nie mieszkalem z nimi, mieszkalem na własną rękę; w szkole byli też dwaj Lipscy z Kosowszczyzny /też mieli podrobione metryki, żeby się uchronić przed wojskiem/.

Przyszedłem kiedyś do domu po chleb, bo przez tydzień nie wytrzymasz na kartkach. We wsi była oblawa i mnie wzięli. Pokazuję dokument, że jestem studentem, ale zabrali mnie do KPZ /kamiera przedwaritalnego zakluczenia, skąd NKWD przesiewało/. Z KPZ szło się albo do więzienia albo pod konwojem do koszar. Pod konwojem z koszar ładowano na wagony - i do Białegostoku. Tam ruscy oddawali mężczyzn Polakom - i tak to było. Kiedy mnie wzięli pierwszy raz w łapaniec, to ten dyrektor mnie wyratował. Nie za darmo, siostra zaniósła miód, masła, płakała, brała na litość, na łapówkę. Dyrektor przyszedł do śledczego, a śledczy kiedyś w cywilu też był nauczycielem. Śledczy powiedział, że mnie wyślą na Sybir i tam zginę. Jakoś potraktował mnie z sympatią jako przyszłego nauczyciela. Wiedział już, że ja byłem w AK, kazał mi napisać, że byłem tam wzięty pod przymusem, że potępiam AK. On potrafił to sformułować, bo zdarzali się i tacy śledczy, że nie umieli pióra trzymać.

Ten śledczy też doradzał, żebym potem lepiej wyjechał z tej miejscowości, bo inaczej wcześniej czy później zginę. Śledczy napi-

Jan Marcinkiewicz c.d.

szął do prokuratora wyjaśnienie, że byłem ogłupiony przez "bandy". Zwolniono mnie, ale ja poprosiłem o zaświadczenie, bo imaczej nawet do domu nie doszedłbym - znów by mnie wzięto. Dał mi zaświadczenie, że Marcinkiewicz Iwan nie podlega zatrzymaniu jako sprawdzony już przez NKWD. Czasami to zaświadczenie skutkowało. Ale po tym rabunku sklepu - nie zadziało.

Przyjechałem pewnego razu do domu - i wtedy wszystkich mężczyzn zgarnięto. Działał wtedy jeszcze przeciw bolszewikom na naszym terenie Durys /Durys był aktywny najdłużej/, Chodyka z Niecieczy. Chodyka był ze mną w AK, on siedział w więzieniu na Syrokomli - uciekł stamtąd i działał do końca. Chodykę /z Niecieczy k/Lidy/ potem Rosjanie zastrzelili. /A Durys był z osadników-piłsudczyków z Małejkowszczyzny/.

Po tym rabunku jak mnie wzięli, to całe śledztwo kierowano tak, że niby ten sklep w Berdówce rabowali Balcewicze z Owsiadowa, chłopcy z Zyrmun, Durys i Chodyko. Wtedy pobrali młodych chłopców, m.in. mego brata Witka, wzięli też na ten napad na sklep furmanki ze Ścierkowa. Ale ja wcale nie brałem w tym rabunku udziału, jednak mi nie wierzone. Podobnie też Balcewicze w tym nie uczestniczyli, oni później dopiero przyprowadzali jakieś kradzione konie. A na sklep napadł Durys ze swoimi. Durysa u Ragnera przedtem nie było, nie wiem, gdzie on był przedtem - może u Krysiaka?

W śledztwie mnie cały czas mordowali: w jakiej bandzie był? kto dowódca? - cały miesiąc. Odpowiadałem, że byłem w AK przy Niemcach, a teraz nigdzie nie byłem. Śledczy na to: dlaczego nie byłem u czerwonych partyzantów? Dlaczego walczyłem w AK o interesy kapitalistów i obszarników, a nie za Polskę. A ja na to, że byłem Polakiem i walczyłem o Polskę. Ale tego uzasadnienia nikt nie słuchał!

A kiedy Durys w naszej wsi brał te furmanki na akcję na siel-po /sklep wiejski w Berdówce/, to jego kompani byli pijani, przekrzykiwali się po nazwiskach; m.in. krzyczeli: Marcinkiewicz, Michałowicz /wzięli przecież mego brata/, wcale się nie krępowali. A te nazwiska u nas występują w naszych okolicach. No i potem dzień w dzień w wiosce siedzieli NKWDziści. W każdej rodzinie pytano o mężczyzn, kobiety odpowiadały, że mężczyźni wyjechali - to do młyna, to na pole - bo furmanki nie wróciły jeszcze z akcji. Wzięli potem wszystkich tych starszych mężczyzn, którzy pojechali z Durysem. Ale oni wszyscy twierdzili, że pojechali pod przymusem, nie mogli zameldować o tym władzom - mężczyzn tych potem puścili. A do mnie się przyczepili: niektórzy młodzi, jak dostali lanie, to mówili, co w śledztwie chciano. Wtedy też zabrano pisarczyka z sielsowie-

Jan Marcinkiewicz c.d.

tu /to był Polak z Chorażowców<sup>u</sup> - prawosławny/ - Durys go wziął ja-  
ko przewodnika do Berdówki. Chłopak ten też dostał wyrok, ale mniej-  
szy od mojego, bo tłumaczył się, że uczestniczył w akcji pod pre-  
sją. Durys miał na uwadze rozprawienie się z sielsowietem, ale  
kiedy przyszedł, to w sielsowiecie już nikogo nie było - wszyscy  
się rozbiegli. /A akcje przeciwko sielsowietom były: w 1945 roku  
został przecież zabity-przejechany przez samochód przedsiębiorca  
Zakuzyn, spalono sielsowiet w Gierwienikach - mieścił się w po-  
przednim domu Dobrowolskiej/.

Wtedy po napadzie zwinęto wszystkich, którzy przedtem byli  
w AK. Moją sprawę prowadził śledczy Cygankow. Być może mnie i nie  
sądzono by. Ale śledczy powiedział, że nie mogą mnie wypuścić, bo  
po tym wszystkim, co ja przeszedłem w śledztwie, to teraz po uwol-  
nieniu poszedłbym od razu do jakiejś bandy i przy najbliższym  
spotkaniu wyciąłbym krzyż na plecach swoim śledczym. /A Durys  
wtedy jeszcze nie był złapany, zginął chyba dopiero w 1947 roku/.  
Ja wnioskowałem, że mnie nie wypuszczą, chociaż moja niewinność  
była widoczna. To oni wtedy znów wrócili do mojej przynależności  
do AK. W moich aktach napisali jako oskarżenie m.in. to, że od  
1942 roku aż do wkroczenia armii radzieckiej byłem w AK, występo-  
wałem przeciwko czerwonym partyzantom, byłem poplecznikiem Niem-  
ców i t.d. /A myśmy mieli rozporządzenie, że Rosjanie są dla nas  
takim samym wrogiem jak i Niemcy, było już przecież po Katyniu!/  
Potem u nas ci byli czerwoni partyzanci zajmowali stanowiska

w milicji, m.in. z Dokudowa nad Niemnem; u nas był przecież ten  
Demidow - w randze kapitana /późniejszy przewodniczący kołchozu  
w Owsiadowie, kiedy w NKWD były później redukcje/. Demidow był  
żonaty z Polką - Lonią ze wsi spod Iwja. Lonia ta przez przypadek  
zdemaskowała jednego chłopca ze swojej wioski - Anackiego. Anacki  
brał udział w potyczce pod Werenowem przeciw Rosjanom /wtedy zgi-  
nął jakiś Bohater 4wiązku Radzieckiego/. Po aresztowaniu podawał  
się za kogoś innego. Śledztwo prowadził właśnie Demidow. Żona  
przyszła do niego do KPZ i zobaczyła Anackiego prowadzonego przez  
podwórze do ubikacji. Zawołała: "Anacki, a ty tu co robisz?" - i  
w ten sposób zdradziła jego prawdziwe nazwisko. Anacki dostał ta-  
ki wyrok jak i ja. W tym czasie dawali 10 lat + 5. Dopiero póź-  
niej, kiedy byłem już w lagrze, dawali po 25+5.

Kiedy byłem jeszcze w szkole, to stracili w Lidzie m.in. Pa-  
zurkiewiczza od Ragnera. W Lidzie były rozwieszane afisze o tym,  
że będzie wykonany wyrok śmierci na Pazurkiewiczzu, podana godzi-  
na. Pazurkiewicz był określony jako biały bandyta. Na rynku na  
Falkowskiego postawili szubienicę, wojsko okrajało plac. Pazur-

Jan Marcinkiewicz c.d.

kiewiczza przywieźli na samochodzie. Z samochodu wylazł jakiś oficer, zaczął czytać, że Pazurkiewicz walczył przeciwko czerwonym partyzantom, terroryzował ludność cywilną i otrzymał karę śmierci przez powieszenie /bo taka kara była najbardziej hańbiąca/. Pazurkiewicz miał związane ręce. Krzyknął: "Niech żyje Polska!" - a ten walnął go w pysk, aż Pazurkiewicz się pokłonił. Założyli mu pętlę, na platformie ciężarówki stał jeszcze taboret, ten taboret wybili mu spod nóg - samochód zatrąbił i odjechał...

taśma III

U nas jeszcze po wejściu Rosjan w 1944 roku, w 1945 były napady. AKowcy rozstrzeliwali jeszcze szpicli, donosicieli. W Ścierkowie rozstrzelali jeszcze jednego starszego chłopca, którego syn przedtem zginął w AK; zlikwidowano też taką starą pannę, która "kręciła z Rysami" i prawdopodobnie donosiła, gdzie się ukrywają AKowcy, kto był w AK. To była starsza panna, ale bardzo lubiła wojskowych - jeszcze przed wojną kręciła się zawsze koło wojskowych na manewrach, zabawiała kapralików. To była Stasia Marcinkiewicz o przydomku Kniaziewa /u nas prawie połowa wioski to byli Marcinkiewicz/, ale to żadna nasza krewna. Później kręciła z Ruskimi, może ona i nie donosiła, kto to wie? Pluton egzekucyjny wykonał też wyrok na naszym sąsiedzie - Bohdziewicz: zabili jego, córkę i syna, a żona pozostała przy życiu przez przypadek - była ranna i zemdląła. Ta Genowefa Bohdziewiczowa potem jeszcze długo żyła. A Bohdziewicz był deputatem jeszcze za pierwszych ruskich.

Były wyroki też i przy Niemcach. Koło nas był majątek Iljanowo, stał pośród błot nadniemeńskich. w tym majątku Rutkiewiczza pracowali od 1939 roku jako parobki Ukraińcy. Był tam też jeden Polak - Lotarewicz. Synowie Lotarewicza też pracowali w tym majątku. Do majątku Niemcy nie dojeżdżali z powodu błota. Ale często zaglądali ruscy partyzanci, zbierali informacje o AKowcach. AKowcy wykonali wyrok na tej całej rodzinie Lotarewiczów. W naszej wsi był też człowiek z Kieleckiego, przyszedł "w prymy". Nazywał się chyba Gaszczyk, mieszkał na końcu wsi, gdzie się zaczynały już błota nadniemeńskie. Też miał kontakty z ruskimi. Jego też potem AKowcy zabili.

Ja już siedziałem aresztowany, kiedy w Kobylnikach zabito przedsiębiorcę sielsowietu - jego, żonę, teściową i szwagierkę - za stołem. Wtedy właśnie przyprowadzali aresztowanych z Kobylników. Za tę sprawę w Kobylnikach dostał karę śmierci Łukasz z Paszuńców /przezwiśko Bocian, bo był taki duży/, on prowadził ten oddział, który zastrzelił za stołem tych biesiadników. Wtedy posadzili du-

Jan Marcinkiewicz c.d.

to ludzi - i tych, co wykonywali wyrok, i tych, co potajemnie pochowali zabitych; potem wszystko wykryli. /Zona Jana Marcinkiewicza - Weronika Marcinkiewicz: do nas do Owsiadowa wtedy wszystkich tych ludzi z Paszunców, z Kobylnik przyprowadzali, bo w naszym domu zatrzymali się NKWDziści, to trwało że dwa tygodnie, badali całą wieś/. Za tę sprawę z Kobylnik chyba dwie osoby dostały karę śmierci. Ale wyroków nie wykonywano już publicznie. Wyroki publicznie wykonywano zaraz po wojnie. Wtedy też był aresztowany taki stary szlachcic z okolic Owsiadowa - Soroka /była wieś też o nazwie Soroki/. Soroko zmarł, biedak, na Syberii. Potem już później po wojnie - sędzili - i na Sybir, sędzili - i na Sybir.

Mnie sędzili już jesienią, w Lidzie się bardzo ochłodziło. Trybunał wojenny przyjechał z Grodna - do spraw politycznych, bo za przestępstwa popolicie sędzili w Lidzie. Wtedy przyjechało chyba 4 czy 5 oficerów. Było zimno, więc w kancelarii naczelnika więzienia nie było rozprawy, tylko w łazni /tam zawsze było ciepło/. Postawili duży stół, zapytali, czy potrzebują adwokata. Odpowiedziałem, że adwokat mnie nie będzie bronił, ich adwokat. Zarzucono mnie, że jestem zdrajcą ojczyzny, walczyłem przeciwko czerwonym partyzantom. Kazano mi potem wyjść za drzwi - i potem odczytali wyrok. Zapytali o ostatnie słowo. Nic nie miałem do powiedzenia. Powiedzieli, żebym podpisał. Odmówiłem, powiedziałem, że to wszystko kłamstwo. "Cie chcesz?" Zanotowano, że odmówiłem podpisania. Następny - i tak jeden za drugim. Wszyscy po kolei: 10 i 5, 10 i 5, 10 i 5. Taki to był sąd. To trwało może z 10 minut a może i nie. Ja mówiłem może ze sto razy, że kiedy walczyłem, to waszej władzy tutaj nie było. Ale to wszystko było bezskuteczne... Mówiłem, że nie zdradziłem ojczyzny, bo moją ojczyznę jest Polska. Podobnie było, jak mnie zwalniali. To było w 1954 roku. Dano znać, że kto dopuścił się przestępstwa przed ukończeniem 18 lat, ma prawo napisać podanie na "pieriesud" /rewizję sądu/. Napisałem, zaniósłem do komendanta obozu. On na to, że wyglądam starszej, a ja na to, że siedzę już tyle lat. A jego "adiutant" - też spośród więźniów, mówi, że pracuję przeciw w kopalni, to ciężka praca, tam i młody zestarzeje się. Gdzieś po miesiącu zaczęli wzywać Litwinów, Czechów, Rumunów, niektórych Polaków - a mnie - nie.

Na "pieriesud" przyjechali z Koźwy /to takie centrum, może obłast' / znów wojskowi, znowu w epoletach. Wezwali nareszcie i mnie. Ponownie odczytali mój akt oskarżenia. Na sali mogli już siedzieć ci, czyje sprawy ponownie rozpatrzono. Odczytano mi, że ze względu na młody wiek w chwili dokonywania przestępstwa, na dobre sprawowanie, na odsiedzenie już 8 lat - jestem zwolniony.

Jan Marcinkiewicz c.d.

Gdybym miał w metryce rzeczywisty mój rok urodzenia, to musiałbym jeszcze odsiedzieć swoje dwa lata, tak jak wszyscy starsi. Dopiero później się zaczęły "zaliczenia", nic darowane nie było.

Po rozprawie trzeba było iść załatwiać bilety. Zapytano, gdzie chcę jechać. Odpowiedziałem, że do Polski. Oni na to, że mogą wybierać dowolne miasto radzieckie, że pozbawienie praw już mnie nie dotyczy. Ja na to, że chcę do Polski, że w Rosji nie mam nikogo /cyganikiem, bo matka, siostry były koło Lidy/. Powrotu do Czech, Węgier czy Rumunii żądali też Czesi, Rumuni i Węgrzy. Na to mi, że jeśli się upieram, to mogą jechać do ambasady polskiej do Moskwy i tam się starać o wyjazd. Nawet pojechałem do tej Moskwy, postąpiłem na progu ambasady i poszedłem: w ambasadzie proszącym o wyjazd dawali po 50 rubli, a ja po pracy w kopalni miałem już chyba kilka tysięcy, bo po śmierci Stalina już nam za pracę płacili dość dobrze. Nie poszedłem do ambasady po tę jałmużnę, a na prośbę o wyjazd rozkładali ręce: nie jesteśmy w stanie tego załatwić. Mogli tylko dać polską gazetę do poczytania. Dopiero w 1956 roku ludzie zaczęli wyjeżdżać.

Wróciłem do domu. Dowód dali mi jeszcze w Incie. A w Lidzie musiałem się zgłosić do wojenkomatu, załatwić zameldowanie. Kołchoźnicy wtedy nie mieli żadnych dokumentów, jak chcieli gdzieś jechać, to brali zaświadczenie z sielsowietu - i to był cały dokument. A ja miałem dowód, mogłem w każdym mieście się zatrzymać. W dowodzie była adnotacja o tym, że siedziałem. Tylko przyszedłem do wojenkomatu, urzędniczka od razu pyta, kiedy wróciłem. Powiedziałem, że wróciłem, ale pod wojsko nie podlegam, bo jestem pozbawiony praw. Ona na to, że wszystko mi darowano, że mam stawać na komisję. Poszedłem na komisję lekarską, tam orzekli, że jestem zdrowy; mam czekać, może wezmą mnie do wojska /brali chyba do 28 roku życia/ - pocieszyli mnie. Chyba po dwóch tygodniach poszedłem do pracy do elektrowni, dojeżdżałem ze Ścierkowa do Lidy. Zarobki były marne, denerwowało mnie to.

Rozpoczął się nabór do szkoły mechaników rolnych w Nowogródku. Zwolniłem się z elektrowni. Poszedłem do MTSu /jak nasze PCMy/. Powiedziałem, że ciągnie mnie do rolnictwa. Dostałem skierowanie do Nowogródka. Pojechałem tam, złożyłem podanie, życiorys - o więzieniu nic nie wspominałem. Sprawdzili dokumenty i powiedzieli, że wszystko w porządku, ale teraz przeprowadzają nabór "na celi-  
na" /ziemie dziewicze/ - cały rocznik traktorzystów i kombajnistów pojedzie na ziemie dziewicze. Kazano mi poprawić w podaniu, dopisać, że po szkole pojedę na te ziemie - i koniec. Wyszedłem na korytarz, a to olbrzymi gmach wojewódzki, wybudowany jeszcze

Jan Marcinkiewicz c.d.

za czasów polskich. Było tam chyba ze 300 uczniów, na korytarzu zawsze siedział jakiś dyżurny. Wtedy siedział jako dyżurny Polak z Lidy. Mówię mu, że ten nabór ma iść potem do Azji, na Powożże, niech to szlag. A on na to, że bym nie był głupi, nie podpisywał tego zobowiązania. Mam pójść do sekretarki dyrektora i powiedzieć, że przysłał mnie dyrektor z dokumentami: podaniem, życiorysem i zaświadczeniem lekarskim. Przychodzę do sekretarki i mówię tak, jak mnie ten dyżurny nauczył. Sekretarka wzięła dokumenty, położyła do szafy, kazała zgłosić się potem po skierowanie na zakwaterowanie. W szkole byli chłopcy chyba z całej Białorusi - i Białorusini, i Polacy, i Rosjanie, niektórzy już po wojsku. Zakwaterowaliśmy się całą grupą u Polaka spod Nowojelni /żonę miał Białorusinkę/; uczę się sobie w porządku, nikt mnie o nic nie pyta. Zdałem egzaminy, wszystkie prawie na piątki; dostałem dokument o ukończeniu szkoły. Aż tu szuka mnie wykładowca od polityki. Czego chce ode mnie? To był drań, pracował jako prokurator, w NKWD. Wzywa mnie i zaczyna rugać: jak śmiem oszukiwać władzę sowiecką? Dlaczego nie jadę na ziemie celinne? Ja na to, że mam matkę starą, chorą, muszę jej na co dzień pomagać. A on na mnie: ty fałszywca, polacka mordka /bo narodowość w dokumentach też była/, was trzeba było powybić, do dzisiaj oszukujecie władzę sowiecką. A ja nic już nie mówię. Posłał mnie do ... materii. A tu kolegom wypłacają już stypendium i duże pieniądze na drogę. Mnie wypłacili tylko stypendium skromniutkie. Widzę, podgoniono wojskowe samochody, gra wojskowa orkiestra, na samochody ładują chyba z 200 chłopca - nawet do domów nie puścili. I do Nowojelni! Wszystko pijane, bo pieniędzy chłopcy dostali dużo. Śpiewają pijani na tych samochodach.

strona B

Tyle Żydów, co było u nas na Kresach, to chyba cała Polska ich nie miała. Małe miasteczka całe były żydowskie: Iwje, Lipniszki, Trokiele. W Lidzie Żydzi byli bogaczami. Ta ich zamkniętość prowadziła czasem do degeneracji, bo bogaci Żydzi żenili się we własnym kręgu. Niektórzy mieli żony z Anglii, Austrii, Jugosławii. Małżeństw polsko-żydowskich prawie nie było. Był kiedyś taki ślub - jeden w całej okolicy - w Połubnikach: Żyd przeszedł na katolicyzm i ożenił się z katoliczką. Rodzice panny młodej nic nie mieli przeciwko, ale Żydzi - i rodzina i kahał wyklęli tego chłopca, w bożnicy stawiali czarne świece: żeby on lepiej umarł, niż żenił się z katoliczką.

Jan Marcinkiewicz c.d.

W Lidzie najbogatsi byli Szapiro i właściciel Ardału. Żydzi byli przeważnie rzemieślnikami: szewcami, krawcami, stolarzami, kowalami i kupcami. Teraz w Lidzie Żydzi się nie afiszują, są Żydzi rosyjscy.

Teraz na wsiach nie widzi się Rosjan. Koło Owsiadowa tylko w Gudach wybudowali całe osiedle, domki murowane. Tam są podobno i Rosjanie. Tam mieszka z Owsiadowa Józik "Prokuratora". W Ścierkowie też pojawili się nowi ludzie na miejsce tych, co wyjechali do Polski. Ludność napływowa jest częściowo spod Mołodeczna, częściowo spod Witebska.

Ze Ścierkowa w czasie repatriacji tuż po wojnie do Polski niewiele ludzi wyjechało, nie wrócili tylko ci chłopcy, którzy poszli do wojska - zostali już w Polsce. W czasie tej repatriacji w latach 50ch też prawie nikt nie wyjechał - tylko Kielewicz i my. Wyjechała też moja siostra ze szwagrem - Juniec i małżeństwo Szaryczów - nasi krewni.

Mało ludzi wyjechało dlatego, że bardzo ciężko było załatwić dokumenty. To zależało od przewodniczącego kołchozu, jeżeli on nie podpisał zaświadczenia, a ludzie byli w kołchozie potrzebni do pracy, to już dokumentów się nie załatwiło. Z sielsowietu trzeba było wziąć zaświadczenie, bez niego nie przyjmowali dokumentów na wyjazd. Trzeba było zdać cały kontyngent, na przykład nie miała uregulowanych tych spraw matka - a to jest rodzina - i już mi nie załatwiali. A trzeba było zdawać mleko, masło, jajka, mięso, albo zapłacić pieniędzmi. Potrzebne było zaświadczenie z rajfo /rejonowego wydziału finansowego/. Niektórzy ludzie wyciągali ostatnie pieniądze i płacili. A ja powiedziałem, że nie zapłacę. I moje papiery odrzucili. Potem poszła żona i ktoś podpisał. Wszyscy się bali tego Łosia. On podpisywał wszystko mojej żonie. A ja w kołchozie nie pracowałem, nie musiałem nic płacić, a oni zażądali uregulować należność za matkę, mimo, że ja z matką nie mieszkałem.

Część ludzi bała się jechać w nieznane; niektórzy mówili, że w Polsce jest tak samo jak u nas, tylko wszyscy mówią po polsku; Rosjanie też straszili.

/Pani Marcinkiewicz/: myśmy się zdecydowali na wyjazd, bo nie widzieliśmy tam żadnej przyszłości. Pobraliśmy się, nie mieliśmy z czego rozpocząć życia w tym kołchozie. Poza tym mąż powiedział - nie będę mieszkał pod tymi, którzy mnie mordowali i katowali.

W 1940 roku brali od nas chłopców do rosyjskiego wojska, do prac przy budowie lotnisk. Koło nas budowano polowe lotnisko w Berdówce - Rosjanie szykowali się do wojny. Budowano lotnisko koło Lidy w Czechowcach - tam pracowali też więźniowie. Z drugiej stro-

Jan Marcinkiewicz c.d.

ny Lidy było lotnisko przed wojną - polskie, w Szejbakach, od strony Nowogródka. A Rosjanie budowali te lotniska co 10 km chyba, zapewne spodziewali się wojny. Nam przynajmniej pola oczyścili z kamieni. Zbierali ludzi z furmankami. Za kamienie płacili grube pieniądze. Ale ani jeden samolot ruski z tych lotnisk nie wystartował. Tylko Niemcy potem trochę wykorzystali te lotniska, kiedy przechodził front.

Wyjeżdżaliśmy w 1958 roku. Ludność nie bardzo chciała opuszczać miejsca, w których się urodziła. W tym czasie nie było już ludzi nie skolektywizowanych. Ja jeszcze przed wyjazdem byłem zabrany do rezerwy do Berdówki. Uzbierało się nas sporo takich, którzy uniknęli służby wojskowej: jedni byli w wieku poborowym w więzieniach, inni po prostu nie zgłaszali się po otrzymaniu wezwania, milicja przyjeżdżała parę razy - a oni się ukrywali albo przekupili milicję, albo spili. Za łapówki załatwiali też sprawy w wojenkomacie. Potem już było gorzej taką sprawę załatwić.

W Berdówce byłem na przeszkoleniu chyba z miesiąc. Ćwiczyliśmy obronę przeciwlotniczą. Wszyscy się śmiali ze siebie nawzajem, że są kołchoźnikami. A było parę chłopców, którzy jeszcze nie należeli do kołchozu. Kiedy przyjechało dowództwo na zakończenie tego przeszkolenia i dowiedziało się, że są wśród nas "jedinoliczniki", to uznało to prawie za hańbę. Zaczęto znów przemawiać do tych chłopców, żeby wstąpili do kołchozu, żeby nie trzymali się takich zacofanych poglądów. Człowiek ma być albo robotnikiem, albo kołchoźnikiem - innych postaw nie mogło być.

Weronika Marcinkiewicz: początek kołchozów był straszny, to było takie gnębienie ludzi. Chodzili agitatorzy i żądali, żeby zapisywać się do kołchozu. A jak się kto deklarował do kołchozu, to musiał wypełnić papier wielkości stołu. Człowiek wstępował mordowany i duszony, a musiał napisać prośbę: Proszę przyjąć, zobowiązuję się pracować sumiennie i z wesołością, i oddaję do kołchozu... - trzeba było takie podanie pisać.

Jeżeli w danym rejonie nie było pełnej kolektywizacji, a byli indywidualni gospodarze, to oznaczało dla władz, że źle pracuje komitet partyjny. Więc te władze miejscowe co rusz podwyższały kontyngenty - co rok wyższy, aż człowiek w końcu nie mógł wypłacić się. Wtedy oddawano człowieka pod sąd: albo idziesz do kołchozu - albo nie. Niektórzy ludzie siedzieli - po 4 lata, po 5, po 7 - za niepłacenie kontyngentu. Chłop widzi, że nie da rady, idzie więc do priedsiedatiela i godzi się na kołchoz. Ale wtedy mówiono, że to nie takie proste - zwoływano zebranie, chłop pisał podanie z zobowiązaniem do pracy i t.d. - podanie przewodniczący czytał publicznie, a wszyscy się śmiali. Potem pytał kołchoźników /sasiadów/

Jan Marcinkiewicz c.d.

a wszyscy wiedzieli, jaka to jest dobrowolna prośba, czy chcą przyjąć go do kołchozu. Ludzie podnosili ręce do góry - głosowali, niektórzy nawet dwie ręce podnosili.

Weronika Marcinkiewicz: w Owsiadowie pierwsi wstąpili do kołchozu Kozłowski. Nikt nawet nie wiedział, że oni się zapisali do kołchozu, zrobili to potajemnie. Kozłowski był bogaty i bał się /Syberii/. Był więc w Owsiadowie jeden kołchoźnik przez dwa lata ale nie było kołchozu. Potem powoli zaczęli wstępować inni bogatsi, a biedni wstąpili na końcu. Bogaci się bali.

Jan Marcinkiewicz: przypominam sobie, że kiedy pracowałem jako kombajnista /w 1955 roku/, to nas milicjanci i działacze partyjni zagonili, żeby skosić /zarekwirować/ żyto ludziom w Wierzchlidzie, którzy nie należeli do Kołchozu. Babcie zagroziły drogę do tych swoich działek, lamentowały. Myśmy poszliśmy z kombajnów - i nie jedziemy. Milicjanci zgarnęli te kobiety, oczyścili drogę i kazali nam kosić. To wymłócone zboże wcale nie poszło do państwa. Zajechaliśmy zaraz do sąsiedniego kołchoźnika i zamieniliśmy to zboże na wódkę. Ci milicjanci i partyjniacy nam ponalewali tej wódki: "Pijcie!" W tej Wierzchlidzie ludzie nie mieli już dużych upraw, po prostu w ogrodzie już nie było kwiatów ani nic, od razu było małe poletko żyta.

Weronika Marcinkiewicz: myśmy oddali do kołchozu 5 ha żyta zasianego, już nie wolno było samemu zebrać. Przyjechały kołchozowe kosiarki, w jeden dzień zżęły to byle jak. Mama wyszła potem na pole, pozbierała kłosa, naznosiła do stodoły. A tu przyjeżdża Demidow i śledczy: kopnął te kłosa i kazał wyrzucić ze stodoły. A brat nie wytrzymał - Władek skoczył do tego śledczego, złapał go za frak, podniósł go do góry i po rusku mówi: "Wot tiebie budiet i pizdiec". A Demidow do Władka: "Zostawcie go, zostawcie..." To było takie bezprawie; Władek cały się trząsał, a oni na konie i pojechali.

Jan Marcinkiewicz c.d.

tasma IV

W łagrze były różne narodowości. Na ogół nie było specjalnych scysji pomiędzy ludźmi, tylko Ukraińcy ścierali się z Rosjanami, ale to były walki pomiędzy recydywistami - chodziło o sprawy bytowe: i jedni i drudzy chcieli rządzić. Ci ludzie nie pracowali i ani komendanci, ani NKWD nie mogło z nimi dać sobie rady - oni nie będą pracowali i już. Nie pracował też jeden Polak z Białegostoku, taki krępy chłop. W czasie mojego pobytu on nie pracował i już. Perswadowano mu: chłopie, zniszczysz zdrowie. Kiedy go wzywano do wyjaśnienia, to on odpowiadał, że zasądono mnie, żebym siedział, a nie pracował. A w obozie było jeszcze coś jakby więzienie- karcer. W karcerze dostawało się zupeł i 200 gram chleba. Człowiek może siedzieć dzień, dwa, tydzień, miesiąc - a potem słabnie z głodu. A strażnicy pilnują, żeby nikt nie dostał jedzenia gdzieś nielegalnie. W końcu człowiek popada w śpiączkę - śpi i śpi i wcale już z pryczy nie wstaje. W karcerze do tego Polaka chodził nasz felczer- AKowiec spod Baranowicz o nazwisku Prus. Posyłano go, żeby przemówił do tego uwięzionego w karcerze. A on już jedzenia nie przyjmuje, taki słaby. A mordować nie można. Wtedy podtrzymują na życiu zastrzykami dożylnymi dokarniającymi. Właśnie ten felczer chodził dawać zastrzyki do karceru. Jak go postawią na nogi, to komendant znów przekonuje, żeby wyszedł do pracy. Na co on, że nie będzie pracował, nie będzie kuł dla siebie jeszcze mocniejszych kajdanów. Wtedy komendant stara się wyprawić go z etapem do innego obozu, żeby inny komendant się z nimi męczył. Przerzucają do innego obozu recydywistów i takich opornych. W nowym obozie oni znów walczą o swoje. Żądają w obzie normalnego jedzenia, z mięsem, a nie lurowatej zupy. Zdarzało się, że głównego kucharza, który się im nie podporządkował, wrzucali do kotła. Wtedy inni kucharze dostarczali im takie jedzenie, którego oni nie mieli i na wolności: kotlecik polany tłuszczem czy rybka - tak potrafili zterroryzować! Jeżeli ktoś się sprzeciwiał, to go albo masakrowali, albo niszczyli.

Byli w obozie Ukraińcy z Zachodniej Ukrainy - Stanisławów, Tarnopol, Lwów - banderowcy; byli tacy, którzy gromili powstanie warszawskie, nie wiedząc, że sami są niektórzy może Polakami. Chwalili się, że w Warszawie walczyli tam, gdzie Niemcy nie dawali sobie rady. Oficerowie mieli skrupuły, bo przecież oni też chcieli wolnej Ukrainy. Ale ta masa zwykłych Ukraińców była strasznie zacofana, ciemna, może to nie ich wina. Wspominali, że w 1937 roku i 1939 Polacy zabili komuś brata czy spalili wioskę /pamiętam, że z naszej wioski chłopcy, którzy służyli w wojsku, jeździli w 1937 roku uspokajać rozruchy nacjonalistyczne na Ukrainie/. Przechwalali się, że Polakom do śmierci nie darują. Cheł-

Jan Marcinkiewicz c.d.

pili się tym, jak strzelali do Madziarów /Węgrów/.

A z Litwinów to nie wiem, kto tam na Litwie po wojnie został, bo w obozie byli i mężczyźni 50-letni i chłopcy - prawie dzieci 17-letnie.

Ukraińcy w obozie ścierali się z Rosjanami. Komendant trzymał recydywistów oddzielnie i Ukraińców też osobno /nie chodzili nawet do pracy/. Ale kiedyś w drodze do łaźni strażnicy się zagapili, a oni mieli już naszykowane siekiery. Byli skuci po dwoje, ale mieli popleczników spośród tych jeszcze nie wykrytych. Za jednym zamachem zarabali 8 Rosjan-recydywistów. Strażnicy zobaczyli, co się dzieje, i sami pouciekali. Ale to wszystko przepadło, zabitych spisali na straty.

Litwini też organizowali się, trzymali się razem. Ja sam kiedyś oberwałem od Litwina, ale to była moja prywatna sprawa. Rozciął mi o tutaj brew. Dostaliśmy obaj od komendanta po miesiącu karceru. Siedzieliśmy obaj, tylko w oddzielnych "kajutach". Wtedy właśnie zmarł Stalin.

Byłem jeszcze raz w karcerze - za robotę. Pracowałem jako elektroślusarz dyżurny. Mój poprzednik miał drugą zmianę, a ja miałem zmianę nocną. W obozie dwa lata pracowałem jako cieśla, a potem na dole w kopalni: ukończyłem kurs elektrowozów. Wtedy główny mechanik ukarał mnie za niewykonanie obowiązków. W sumie nie byłem winien, bo roboty nie zrobił mój poprzednik, przekazał ją mnie. Dostałem wtedy chyba 4 dni karceru, bo innej kary nie było.

Racja żywnościowa zależała od wykonania normy. Najwyższa racja była 400 gram chleba, a reszta to była zupa, drugie danie - wszystko to było liche: łyżka kartofli, naporstek masła czy margaryny, kawałek ryby. Z domu przysyłali jedzenie, ale to było słabe. To była sprawa skomplikowana: paczka musiała być w specjalnej skrzynce, mieć odpowiednią wagę. Szczególnie dokuczliwy był brak witamin - wszystko było suszone, mrożone; bywała tylko kwaszona kapusta. Krwawiły dziąsła - skorbut "Cynga". Byłem już w takim stanie, że przed oczyma latały mi motyle, puchły kolana. Po ugryzieniu chleba kromka była cała we krwi - krwawiły dziąsła, ruszały się zęby. Poszedłem do lekarza - to był Rumun, też zesłaniec, wojskowy. A on nie miał lekarstw. Dał mi pół szklanki zakiełkowanego grochu, na drugi dzień pół szklanki zakiełkowanej pszenicy - ale to nic nie pomagało. Do roboty musiałem chodzić, na to zwolnienia nie było. Potem lekarz ten zdobył gdzieś jakiś zastrzyk czy tabletkę /już nie pamiętam/. Po tym za jedną noc wydobrzałem: przestały przed

Jan Marcinkiewicz c.d.

oczyna latać motyle i krwawić zęby. Pisaliśmy do domu, żeby przysłali paczkę cebuli względnie czosnku, bo to bardzo pomaga. Przysyłali, ale paczka szła dwa miesiące albo i więcej, przemarzała i ten zmarznięty czosnek czy cebula już nic nie są warte. A skłoninę z paczki kradli, zostawały same suchary czy chleb. Potem w liście od siostry czytam, że wysyła mi cebulę, czosnek, skłoninę i suchary. Paczkę wydaje strażnik i jeszcze jeden więzień jako świadek, ale oni tę paczkę okradną za plecami - i z całej paczki zostaje zmarznięta cebula i suchary. Tak że to niewiele się opłacało. Nawet jak przysłała paczka, to to było można raz pojeść, bo koledzy patrzyli - wszyscy głodni. Więc temu dał troszkę, temu troszkę - i samemu raz pojeść. Tak że paczka nie ratowała od głodu. A gdyby człowiek nie dał, to i tak ukradną, kiedy pójdziesz do roboty.

Na początku pobytu, jak tylko przyjechaliśmy, w obozie był ksiądz z Wilna, ksiądz biskup, starszy - pamiętał jeszcze pierwszą wojnę światową. On często dostawał paczki z Wilna i za to wzięli go do pracy biurowej - do kantory. Kilka razy go wyganiali z tej kantory "do lasu! przewdetrzyć się! do pracy!", a to był już staruszek, trzymaliśmy go pod rękę, bo śniegu było po pas, on się przewracał. Gdyby go ganił do pracy tak jak nas, to on i roku by tam nie wytrzymał. Ale go ratowali parafianie - jak napisał list, to szła paczka za paczką, i to dobre paczki, konserwy.

W obozie nie było w ogóle papieru, nie było na czym listu napisać, nic poza workami od cementu. Nawet strażnicy, którzy notowali brygady wychodzące do pracy, zaznaczali dane na desce specjalnie wystruganej. Poszedłem do księdza z prośbą, żeby pożyczył mi karteczkę papieru, bo nie mam na czym listu napisać do domu. A on dostawał w paczkach nawet zeszyty szkolne /wtedy akurat w przeddzień dostał paczkę/. Ksiądz dzielił się paczkami z tymi biurokratami więziennymi - oni byli taką przegródką oddzieleni od nas. Przedtem już rozmawialiśmy z tym księdzem, on wiedział, że jestem z Lidy. Na moją prośbę dał mi kilka kartek, żebym dał potrzebującym kolegom. Dał mi też puszkę konserw - tuszone mięso wieprzowe. Miałem się podzielić z kolegami. Źle zrobiłem, że poszedłem do niego z rana, bo tu już trzeba było iść do roboty; powinienem był podejść do niego wieczorem! Może by to wszystko grało. A tu gdzie schować tę puszkę? Tylko przy cza i nic więcej. A tu już dzwonią: "Wychodzić! Wychodzić!" Pomyślałem, że jak zostawię pod poduszką, to ukradną. Wyszedłem za ubikację, rozkopałem śnieg i schowałem. Przychodzę z roboty, mówię chłopcom, że ksiądz dał papier i konserwę... Pobiegłem, kopię ten śnieg - leżą tam pozakopywane kociołki na zupę, a moja konserwa znikła! Kopię jeszcze raz, trzy razy przekopałem! niech cię licha! Ani

Jan Marcinkiewicz c.d.

śladu! A w tym śniegu były też pozakopywane kradzione naczynia.

W obozie było tak: po przyjeździe idzie się do stołówki, dają zupę - ale do czego tą zupę wziąć - niewiadomo. Naczyń nie dają. Rób co chcesz - ani łyżki nie dają, ani nic. I żeby to dzień, dwa. Rok możesz być, jak nie skombinujesz sobie, to nie masz. To niekiedy pożyczano się: jeden leciał, brał sobie, szybko wypił i dał tobie. I wtedy ty leciał. Względnie on brał podwójnie...

Ksiądz nasz starał się zewnętrznie nie pokazywać religijności. Przed spaniem klękał koło pryczy, ale się nie żegnał ani głośno nie modlił. Poniekąd miał i rację. Byłby wyszydzony. Byli tam popi rosyjscy, oni byli poniewierani. Popi chodzili jako robotnicy razem z innymi, byli piętnowani przez Rosjan. Nie widziałem, żeby do naszego księdza odnosili się bez szacunku. Może to zawdzięczał dobrej pozycji materialnej. A władze obozowe dbały, żeby sprawy polityczne i oświatowe były w porządku. Był więzień, który zajmował się sprawami wychowawczo-politycznymi. On nawet czasami przychodził do baraku, czytał gazetę. Czasami organizował odczyty antyalkoholowe - lektorem był ktoś spośród więźniów - najczęściej lekarz. Potem to nawet były kursy na przykład matematyki /siedzieli przecież też i profesorowie/. Potem przy kopalni organizowali kursy zawodowe. Kursy te były po pracy. Jeden tylko kurs był bez pracy: w kopalni początkowo były tylko wózki ręczne, ludzie toczyli je swoją siłą. Ale kopalnia się rozbudowywała i z czasem wprowadzili elektrowozy. Trzeba było zrobić nabór na maszynistów - kończyłem właśnie te kursy. Nauka trwała chyba trzy miesiące - przedtem trzeba było napisać podanie, wykazać wykształcenie. Z brygady cieśli poszedłem właśnie na te kursy, jeździłem przez jakiś czas na tym elektrowozie, a potem poszedłem już po pracy na kurs elektromonterów. Byłem elektromonterem dyżurnym na zmianie: coś się zepsuło - bezpiecznik, żarówka, silnik wysiadł, kabel przebiło - trzeba było te awaryjne rzeczy usunąć.

str. II

Obok nas, za ogrodzeniem - płotem był w Incie obóz kobiecy. Potem kobiety zostały przewiezione gdzie indziej. Kobiet tam były też tysiące. Nie pracowały w kopalni, ale wykonywały różne prace na powierzchni, między innymi robiły wykopy, betonowały, tynkowały - robot było. Były też Polki. Kobiety mieszkaly w barakach osobno, ale spotykaliśmy je na terenie kopalni. Kopalnia była też otoczona drutami, na bocianach siedzieli strażnicy - tak jak i w lagrze. Kopalnia ciągnęła się kilometrami. Ludzie się wypytywali wzajemnie - czy są Polacy, czy są Litwini. W lagrze nie spotkałem kobiet spod Lidy, ale kiedy byłem jeszcze w więzieniu w Lidzie, to siedziała Lotarewicz Hela /?/ z Dworzyszcz - z ojcem. Dostali też po 10 lat, bo w

Jan Marcinkiewicz c.d.

1946 roku to był najwyższy wymiar kary /albo kara śmierci/, 10 lat i 5 lat porażenia praw; potem, chyba w 1948 czy 49 wprowadzono 25 lat i 5 porażenia. W Lidzie siedziało wtedy więcej dziewcząt, ale tę jedną chłopcy AKowcy nasi znali. To była ładna dziewczyna, miała piękne włosy. Pokazali mi ją chłopcy, kiedy nas wyprowadzali na Syrokomli na 10 minut na spacer - a kobiety już wracały z tego podwórza.

Na początku w lagrze dużo ludzi umierało, potem trochę się poprawiło, a po śmierci Stalina było już nawet znośnie jak na tamte warunki. Ja sam na początku o mało nie kipnąłem. To była też trochę moja wina. Organizm miałem zdrowy. Ale głód był straszny: jak się położysz spać, w głowie się kręci, a po chwili śni się - dużo chleba na stole, matka kroi, podsuwa - jedz. Przebudzisz się - a tu nic nie ma i znowu aż skręca z głodu... Byliśmy wszyscy młodzi. Potem chodziła taka komisja, lekarze siadają, każą się rozbierać do pasa i przechodzić: brzucha nie ma, same żebra. Czasami rozbieraliśmy się do naga - chłop wysoki, a tu same kości. Wydaje się, że gdyby skóra pękła, to te kości się rozsypią - kościotrupy. Tym najbardziej wycieńczonym dawano przez tydzień czy dwa jakieś dodatkowe porcje - na podtrzymanie. Dawano coś w rodzaju krótkiego urlopu - wtedy ci wycieńczeni nie szli do pracy, a jak wrócili trochę do siebie - to znów do roboty!

Mnie też przyznali to podtrzymanie, uznali, że jestem bardzo chudy. Szedłem trzymając się to jednej ściany, to drugiej - a tu jeszcze do roboty! Nikt nie pytał. Więźniowie-recydywiści "nariadczyki" kopali, jak ktoś upadł. Człowiek musiał wstać, jeśli był żywy, bo go zakopaliby na śmierć. Na bramie stał lekarz, też więzień. Jak już ktoś upadł i nie mógł wstać, to macał za puls i mówił, żeby przestali kopać, bo już i tak nie wstanie z wycieńczenia.

Ja raz dorwałem się w magazynie do makuchy. Makucha - to wytłoki ze słonecznika /do pojenia zwierzyny/. Ja wtedy za porcję chleba kupiłem bryłę takich wytłoków. Na środku baraku stał piec, zgotowałem w garnuszku wodę i wrzuciłem tych wytłoków. Zrobiła się z tego gęsta kasza - tego było dużo, może ze 2 litry. Zjadłem to za jednym razem! A coś z tłuszczu w tych wytłokach zostaje. W lagrze do ubikacji chodziliśmy raz na dwa tygodnie, wydalaliśmy coś czarnego jak węgiel. A po tych wytłokach chwyciła mnie biegunka. Mróz, zimno, nie nadątam latać do ubikacji! Początkowo nałożyłem waciaki, a potem już nie nakładałem spodni tylko latałem w koszuli tam i z powrotem. Przeziębilem się, gorączka! A tu do pracy. Na bramie był lekarz Rosjanin Rybakow. Kazał mi się zgłosić do ambulatorium. A w ambulatorium kolejka! A mi się ciemno robi w oczach. Gorączkę

Jan Marcinkiewicz c.d.

miałem ponad 40<sup>o</sup>. Lekarz skierował mnie do szpitala; to był taki też normalny barak, tylko stamtąd już nie chodziło się do pracy. Wróciłem jeszcze do swojego baraku. Chłopcy po pracy przynieśli mi mój chleb i zupę, ale ja już nic nie mogłem jeść - wszystko było gorzkie.

W szpitalu było już lepsze jedzenie. Dali omlety - z amerykańskich jajek w proszku. Co dają - wszystko wydaje mi się gorzkie. A w tym szpitalu obok mnie na łóżkach umierali Rumuni - Mołdawanie - jęczeli po rumuńsku. A ja nadal nic nie mogę jeść. Dostałem jakieś lekarstwa. Przeleżałem w tym szpitalu dwa czy trzy tygodnie. Potem gorączka spadła i znów do roboty. Żałowałem potem, że w szpitalu nie mogłem jeść, bo potem już apetyt miałem, ale nie było co jeść. Potem już uważałem, lepiej być głodnym, niż chorować. Starałem się zapomnieć o głodzie: nakryję głowę, jak najmniej ruchu, staram się leżeć. A ludzie starsi pomiędzy czterdziestką a pięćdziesiątką nie wytrzymywali, poumierali. Z naszej wioski nie wrócili z łagrów Karaban Władysław<sup>K</sup>, Cieszek Jan - to byli mężczyźni z placówki ze Ścierkowa /w naszej wsi była placówka AK, były warty/. Nie wrócił też Soroka z Siola /koło Owsiadowa/. Ale oni nie byli ze mną w łagrze, byli gdzie indziej.

W łagrze umierali masowo Niemcy. Polacy byli odporniejsi, podobnie jak Ukraińcy, Białorusini i Litwini. Najbardziej wymierali Rumuni-Mołdawanie /oni trzymali stronę Niemców, byli sądzeni potem całymi pułkami - żołnierze i dowódcy/ i Niemcy z Powoźna. Pamiętam takiego Niemca - Maucha. Niemcy ci /rosyjscy/ służyli niektórzy u Niemców i potem byli sądzeni jako zdrajcy, a ich rodziny wywieziono do Kazachstanu. Niemcy ci też padali jak muchy. A Niemcy - jeńcy wojenni siedzieli niedługo, zostali ci, którzy w łagrze dostali wyroki, np. za handel czy za drobną kradzież. Dostawali po 5-7 lat i siedzieli.

Potem w łagrze, kiedy już płacono nam za pracę, można było jakiś tam procent wziąć na rękę, a reszta szła do kasy na dane nazwisko. W łagrze zorganizowano sklep - była marmolada, cukierki, chleb, kompot. Można było już wysłać jakąś sumę rodzinie. Wtedy już nie było takiego głodu.

Było parę ucieczek z łagru - ale bezskutecznych na ogół. Za te 8 i pół roku, które ja byłem w łagrze, nie było ani jednego przypadku żeby ktoś uciekł bezpowrotnie. Z naszych nikt nie uciekał. Już pod koniec pobytu - prawie nadaremnie - uciekł jeden Litwin. I dojechał nawet dość daleko - prawie pod Leningrad. Tam go złapali. Ucieczka nie była problemem - można było wyleźć przez stare szyby z kopalni czy uciec przez druty. Chodziło o to, co robić dalej. Na każdej

Jan Marcinkiewicz c.d.

stacji była kontrola dokumentów. Nie potrzeba było sygnału, że z lagru uciekł ktoś. Zdarzało się, że w kopalni zawaliło się coś. Od razu milicja sprawdzała wszystko, szukała człowieka, który zginął w kopalni. Tego Litwina, który uciekł, znałem osobiście. Kole-dzy mu odkładali po trochu żywności, pomagali. Nasza kopalnia prawdopodobnie zaopatrywała w Leningradzie jakąś elektrownię. Każdy wagon z węglem, który wyjeżdżał z kopalni, był sprawdzany. Wchodzili strażnicy z pikami i przebijali ten węgiel aż do podłogi. Jeżeli tam nawet kto żywy był, to by go zabili. A Litwini zrobili mu taki daszek z desek, zasypali go z wierzchni węglem, żeby mógł bezpiecznie wyjść z kopalni. Ujęto<sup>go</sup> gdzieś na stacji pod Leningradem i przywiezli<sup>1010</sup> z powrotem. Miał odsiedziane już 6 czy 7 lat, ale musiał karę odsiadywać od początku. Uciekiniera zawsze przywozili tam, skąd uciekł, robili sąd - nawet publiczny. A ten Litwin miał 25 lat do odsiedzenia.

Zdarzało się, że przywozili zabitych uciekinierów. Kładli ich przed bramą. Tam mieszkała ludność Komi - taki koczowniczy naród. Potem pobudowano im domy, taki kołchoz, żeby się zajmowali hodowlą reniferów. Komi też siedzieli z nami. My dziwiliśmy się, jak Komi mogą żyć w takich warunkach, a oni odpowiadali, że nie zamieniliby swoich terenów na żadne rosyjskie miasto. Czasami widzieliśmy, jak całe stado jeleni szło, kiedy my szliśmy do roboty. Poganiacz ma na saniach<sup>2101</sup> całą rodzinę - żonę i dzieci. Ubranie ma takie, że ręce całe ma zakryte. Kobiety mają na saniach taką blachę, jak tylko się sanie zatrzymają, to zaraz otoczą te sanie skórą i już gotują. Niektórzy pod koniec wyroku chodzili już bez konwoju. Bywali w gościach u Komi. Opowiadali, że u tego ludu największym przysmakiem jest wątroba jelenia - surowa, mrożona. Wątrobę tę kroją po plasterku i częstują. A odmówić nie można, bo zaraz obraza. A ta wątroba czerwona i krwista! Jeden z takich ugoszczonych opowiadał, że ten poczęstunek wrzucił sobie za koszulę - koszula czerwona! zimno na brzuchu! Ale nie było wyjścia! Bał się pogardzić poczęstunkiem.

Moim śledczym w Lidzie był Szaninin. Na początku był Cygankow. To on, kiedy już wiedział o tym, że ja nie brałem udziału w napadzie, powiedział mi, że mimo wszystko muszą mnie posadzić, bo teraz ja chyba im krzyże na plecach porobił, gdybym ich spotkał - po tych torturach w śledztwie. A starali się mnie posadzić, żeby się pozbyć z tych terenów. Przecież u nas jeszcze działał Durys, Chodyko i inni. Na śledztwie mnie nie głaskali - jeden z jednej strony, drugi z drugiej rąbnął - ja upadłem. Wtedy mnie kopali: "Ty bandyto!" i tak dalej. Innych nie pamiętam śledczych, potem przejął mnie Szaninin. Oni się zmieniali, a mnie kazali stać. Nie wolno było się oprzeć o

Jan Marcinkiewicz c.d.

ścianę. Jak się tylko oparłem, zaraz stawiali na baczność. Mówili: "Co, nie podoba się? Oficerem byłem w wojsku!". Wiem, że tam był jeden szpicel. Szkoda, że go AKowcy nie znaleźli, jak rozliczali się z tymi szpicelami. To był szpicel z naszej wioski, Rosjanin. Pochodził z Moskwy. Ale miał wyrok i pracował po 1939 roku przy budowie lotniska w Czechowcach /koło Łidy/. Kiedy Niemcy zajęli nasze tereny, to niektórzy z nich poszli do partyzantki, ale niektórzy ciągnęli w swoje strony. Wśród nich było dużo Azjatów. A on przywędrował do Ścierkowa, zatrzymał się u takiej starej panny i potem się z nią ożenił. To była panna Karaban. Potem Rosjanie go szukali, bo takich jak on wywozili z powrotem "na rodzinu". Ale niektórzy z nich zaszyli się u nas i nie wyjechali.